

Przegląd amerykański (IV)

Buckley o Kuehnelt-Leddihnie, „Chronicles” o problemie islamskim

Jacek Koronacki

Eryk von Kuehnelt-Leddihn

W maju tego roku umarł Eryk Ritter von Kuehnelt-Leddihn. Mimo swoich dziewięćdziesięciu lat jeszcze w kwietniu wybierał się opuścić na chwilę dom w Lans, w Tyrolu, by udać się na konferencję do Montrealu i tam dyskutować o monarchizmie. Co prawda, przedtem musiał poddać się operacji a, jak zauważał w liście do Williama F. Buckleya Juniora, założyciela „National Review” i swego przyjaciela od ponad czterdziestu lat, w jego wieku każdy zabieg jest niebezpieczny. I dodawał: *Jestem duchowo przygotowany na spotkanie z Panem; choć z drugiej strony jestem u szczytu swoich możliwości twórczych.*

W „National Review” z końca czerwca Buckley wspomina swe pierwsze spotkanie z twórczością Kuehnelt-Leddihna w roku 1952, zaproszenie wybitnego Austriaka do współpracy z czasopiśmem, potem lata wspólnych kontaktów.

W tym miejscu wypada przypomnieć, że w roku 1952 Kuehnelt-Leddihn wydał w USA książkę pt. *Liberty or Equality* (dopiero potem wyszło jej wydanie niemieckojęzyczne). Anlosasi byli Kuehnelt-Leddihnowi bliscy, w Anglii i zwłaszcza USA Kuehnelt-Leddihn uczył przez lata. Austriacki katolik i monarchista, liberał podobny do de Tocqueville’a, Roepkego widział upadek Ładu, rozumiał przyczyny upadku i, jak sam pisał we wstępie do swej książki, *chciał pomóc Anglosasom w jasnym rozróżnieniu sił światła i sił ciemności.*

Wiele lat później Russell Kirk tak zreasumował tezy wspomnianej książki: [...] *prawdziwa wolność i pełna równość są nie tylko nie do pogodzenia, ale są fundamentalnie i całkowicie niemożliwe* [by lepiej oddać właściwy sens owej niemożliwości, Kirk posłużył się tu neologizmem *impossible*, przyp. JK]. *Kuehnelt-Leddihn jest orędownikiem katolicyzmu przeciw protestantyzmowi; prawowitej monarchii przeciw królowi Demosowi; uporządkowanej wolności przeciw nazistom i komunistom. Jest spadkobiercą kultury ziem długo rządzonych przez wielki dom Habsburgów – owego politycznego i kulturalnego kompleksu, tak niemądrze poszatkowanego przez Woodrowa Wilsona i Herberta Hoovera. [...] W rzeczywistości, ideologiczny demokratyzm musi prowadzić do silnie scentralizowanej dominacji i tym samym likwidacji autentycznych demokracji lokalnych. W egalitarnej Utopii ludzie będą tak samo wolni i tak samo równi jak świnie w chlewie.*

Nawet jeżeli nie były to tezy szczególnie odkrywcze, niezwykła była historyczna argumentacja do nich prowadząca. Młodzi, ale już dojrzały amerykańscy konserwatyści, wspomina Buckley, musieli się czuć przy lekturze *Liberty or Equality* jakby znów znaleźli się na studiach. Tyle, że – można by dodać – uczelnia była jakby z innego, lepszego świata. I erudycja wykładowcy była niewiarygodna.

Nigdy nie poznałem nikogo, pisze Buckley, kto miałby umysł przepelniony wiedzą w podobnym stopniu. Nie tylko w tym sensie, że ów uczony tułacz mógłby wygrać każdy teleturniej historyczny, bez zastanowienia podając daty drugiej wojny peloponeskiej. Kuehnelt-Leddihn wyjaśniłby ci, dlaczego owe lata były szczególnie ważne, a przy deserze

analizowałby wpływ rzeczony wojny na myśl Akwinaty po tym, gdy ten przyswoił już sobie dorobek Arystotelesa. [...] Eryk wiedział wszystko i zawsze chciał ci powiedzieć wszystko, co wiedział. Wieczór z nim mógł przeto okazać się męczący. Poeta, Roy Campbell, powiedział mi kiedyś, że gdy Eryk gościł w Londynie u niego i jego żony, ci słuchali Eryka na zmianę.

Ale w książce, czy to we wspomnianej tu *Liberty or Equality* czy w późniejszej, stanowiącej niejako rozwinięcie tej pierwszej, *Leftism Revisited: From de Sade and Marx to Hitler and Pol Pot*, śledzenie jak autor rozwija nić biegnącą od Wycliffa, Husa i najważniejszych w tym przypadku Taboratów do czeskich narodowych socjalistów z przełomu XIX i XX wieku, i stąd do Mussoliniego jest czynnością zaiste pasjonującą. Tak jak pasjonująca jest analiza Reformacji jako reakcji na Odrodzenie i humanizm. Albo jak pasjonujące jest wykazanie, że obydwie wojny światowe były w ostatecznym rozrachunku wojnami lewicy przeciw Ładowi.

W swoim ostatnim liście do Buckleya, z końca maja, Kuehnelt-Leddihn pisał: *Jeszcze żyję. [...] Spotkamy się w niebie. [...] Artykuły w „National Review” na temat Kosowa bardzo interesujące, ale brak w nich zrozumienia bałkańskiej umysłowości* [podkreślenia Autora listu]. *Cała sprawa była spartaczona od samego początku. Wszystko było źle prowadzone. [...] Lista książek [100 najlepszych książek niebeletrystycznych tego wieku], ogłoszona przez „National Review” 3. maja – bardzo interesująca. Oczekiwałem tego, że moje książki się na niej nie znajdą. Choć są tam też książki drugorzędne. [...] Brakuje zaś: Spenglera, Bierdiajewa, Unamuno, Moscici, Pareta, Keyserlinga, Christophera Dawsona, E.I. Watkina (jeszcze wspanialszy niż Dawson), Santayany, Sorokina, Rustowa, Roepkego. A więc jestem w dobrej kompanii.*

Wkrótce po napisaniu tych słów, Eryk von Kuehnelt-Leddihn stał już przed Dobrym Sędzią, wierzę, by już dosłownie znaleźć się wśród najlepszych.

Islam i chrześcijaństwo

Przewodnie artykuły „Chronicles” z lutego tego roku poświęcone są umacnianiu się pozycji islamu na Zachodzie. James George Jatras, na co dzień ekspert polityczny amerykańskiego Senatu, ale oczywiście nie w tej roli występujący na łamach czasopisma, pisze:

Nie wiadomo czy rozłam europejskiej cywilizacji chrześcijańskiej na zachodnią i wschodnią, manifestujący się dziś odmiennymi tradycjami religijnymi -- katolicką i protestancką na Zachodzie i prawosławną na Wschodzie – okaże się dla tej cywilizacji zabójczy. Czynnikiem, który będzie w największej mierze decydować o konsekwencjach rozłamu, jest szybki wzrost wpływów islamu, charakterystyczny dla obecnego okresu pozimnowojennego. Dla Wschodu, który graniczy ze światem muzułmańskim, jest to cały czas ten sam problem gwałtownej i bezpośredniej konfrontacji, trwającej od siódmego wieku. Dziś, obszar konfrontacji ciągnie się od Bałkanów po Kaukaz oraz przez środkową Azję. Z Zachodem rzecz ma się inaczej. Przede wszystkim mamy tu do czynienia z problemem wewnętrznym, będącym rezultatem ideologicznej konfuzji [...] oraz demograficznej infiltracji.

W zeszłym roku Rada hrabstwa Loudoun w stanie Virginia, nieomal pod progami stolicy państwa [...], zezwoliła na budowę nowej akademii islamskiej. Ma to być jedna z kilku tego typu instytucji powstających na terenie USA, obejmująca teren około 40 hektarów. Na akademię składać się będzie szkoła podstawowa, gimnazjum, liceum i akademik na 800 łóżek. Na wzgórzach stanie meczet z 26-metrowym minaretem.

Mieszkańcy hrabstwa byli przeciwni budowie, między innymi w obawie przed napływem zbyt wielu obcych na ich teren, ale ich główna obiekcja wynikała ze zlekceważenia przez władze hrabstwa statusu prawnego, jaki będzie miał budowany kompleks szkolny. Otóż ten będzie podlegał Ministerstwu Edukacji... Arabii Saudyjskiej. Akademii prezesować będzie z urzędu ambasador saudyjski. Żeby na to pozwolić, jawnie przecząc stanowi faktycznemu, władze hrabstwa zdecydowały się uznać akademię za prywatną i nie podlegającą kontroli żadnego rządu. Krótko mówiąc, *ani stan Virginia, ani Stany Zjednoczone nie mogą dziś stworzyć i prowadzić żadnej instytucji szkolnej opartej na jakiegokolwiek doktrynie religijnej, ale może to czynić [...] rząd obcego państwa.*

Przy okazji Jatras przypomina fragment raportu amerykańskiego Departamentu Stanu z roku 1997, poświęcony przestrzeganiu praw człowieka w Arabii Saudyjskiej: *Wolność religii nie istnieje. Oficjalną religią jest islam i wszyscy obywatele muszą być muzułmanami... Zmiana wyznania na inne jest uznawana za apostazję. Publiczna apostazja jest zbrodnią według prawa Allaha (prawo szaria) i jest karana śmiercią.*

Jatras przypomina ów raport, by nawiązać do nieznośnej już podwójnej moralności, jeśli nie schizofrenii środowisk opiniotwórczych, z jaką te odnoszą się do konfliktów społecznych na styku różnych kultur. Mieszkańcy hrabstwa Loudoun, niechętni powstaniu akademii, odważyli się publicznie krytykować reżim saudyjski, nie stwierdzając nic ponad to co ogólnie wiadomo i co potwierdza raport Departamentu Stanu. W odpowiedzi, na przykład przez Washington Post okrzyczani zostali nietolerancyjnymi bigotami, kierującymi się niskimi pobudkami. Oto pierwszy z brzegu przykład konfuzji moralnej zachodnich „intelektualistów”, którzy w żadnym sporze z inną kulturą nie mogą przyznać racji pobratymcom, o ile ci nie wyparli się jeszcze własnych korzeni.

Jatras stawia też pytanie szersze -- czy ma rację prezydent Clinton nazywając islam religią pokoju. Albo inaczej, czy Ayatollah Khomeini, twierdzący, że *muzułmanie nie mają alteratywy, [...] lecz muszą prowadzić świętą wojnę przeciw rządóm niewiernych, [...] by zapanować nad wszystkimi ziemiami niemuzułmańskimi*, powinien być traktowany jako ekstremistyczny funadmentalista, czy też Ayatollah wyrażał doktrynę obecną wśród wyznawców islamu od wieków.

Jatras, powołując się na źródła historyczne i współczesne, uzasadnia tezę o przynależności idei (i praktyki) świętej wojny do jądra doktryny islamu. Wtóruje mu w tym samym numerze „Chronicles” Sdrja Trifkovic, obecnie redaktor czasopisma odpowiedzialny za materiały dotyczące spraw międzynarodowych, który w islamie widzi na poły religię i na poły ideologię. I on dość szeroko odwołuje się do historii islamu oraz cytatów ze współczesnych jego badaczy. Pogląd Trifkovica daje się streścić w takim jego stwierdzeniu: *Chcąc zrozumieć historię islamskich kontaktów z niemuzumulanami, należy zrezygnować z porównywania islamu z judaizmem lub chrześcijaństwem, a przyłożyć doń taką miarę, jaką przykładają się do nowoczesnych ideologii totalitarnych, zwłaszcza bolszewizmu i hitleryzmu.*

Także w tym samym numerze „Chronicles”, prof. Harold Brown, redaktor odpowiedzialny za problematykę religijną w czasopiśmie, formułuje sąd łagodniejszy. Píše Brown:

Prawdą jest, że w islamie istnieje wiele nurtów, choć nie tak wiele jak w chrześcijaństwie. Błędem byłoby uznanie, że święta wojna jest podstawowym elementem muzułmańskiej wiary, a w każdym razie, że jest podstawowym elementem wszystkich odmian islamu.

Chrześcijaństwo miało swoje krucjaty i swoich krzyżowców, i w pewnym okresie zachodnie chrześcijaństwo wydawało się skupiać na opanowaniu Wschodu. Ale proste spojrzenie na historię świata pokazuje, że ekspansja islamu jest w daleko większej mierze skutkiem podbojów.

Zostawiwszy na boku czynione porównania wypada jednak zgodzić się z Jatrąsem i Brownem, że od czasów Mahometa do tureckiej klęski pod Wiedniem w roku 1683 konfrontacja z islamem była dla chrześcijaństwa głównie wiekami wojen obronnych lub też prowadzących do odzyskania wcześniej utraconych terenów. Bez wątplenia ekspansjonizm był wpisany w rzeczywistość islamu.

Patrząc na historię rywalizacji świata islamu ze światem chrześcijańskim, obydwaj autorzy podkreślają najpierw przełomowe znaczenie zwycięstwa chrześcijan prowadzonych przez Jana Sobieskiego pod Wiedniem i potem równie brzemienny w skutki kryzys Zachodu w naszym wieku.

Przegrana Turków pod Wiedniem, przypomina prof. Brown, rozpoczyna ustępowanie islamu, które potrwa dwa i pół wieku. [...] Rozwojowi przemysłu i nauki na Zachodzie, europejskiej kolonizacji obu Ameryk zaczyna wkrótce towarzyszyć napór Zachodu na muzułmańskie bastiony Afryki i Bliskiego Wschodu. Antyczne siedliska kultury Zachodu w Grecji zostają odzyskane na początku XIX wieku. Stopniowo niepodległość odzyskują prawosławne ludy Bałkanów. Ale nawet pokonanie Turcji w I wojnie światowej nie prowadzi do zwrócenia Konstantynopola Grekom.

Klęska imperium tureckiego pozwala na umiejscowienie się na Bliskim Wschodzie Wielkiej Brytanii i Francji. Ale na krótko. Po drugiej wojnie światowej Brytyjczycy i Francuzi się wycofują, oddając znowu pola ekspansji islamu, tyle, że tym razem ekspansja odbywać się będzie pod auspicjami arabskimi, a nie tureckimi. A jeszcze pod koniec XIX wieku europejska hegemonia wydawała się być nieodwracalna [...].

Czego islam nie był w stanie zdobyć środkami wojskowymi, albo występując przeciw uprzemysłowionemu Zachodowi, albo przeciw żydowskim imigrantom do Ziemi Świętej, dziś osiąga inaczej, zwracając się ku muzułmańskiej wersji Völkerwanderungen, który kiedyś zgniół imperium rzymskie na Zachodzie. Ludność ulega gwałtownym przemieszczeniom. Czystki etniczne, o które oskarża się Serbów błędną w obliczu tego, co muzułmańscy Turkowie uczynili ich chrześcijańskiej mniejszości armeńskiej w drugim dziesięcioleciu tego wieku. Na początku wieku jedną trzecią populacji dzisiejszej Turcji stanowili chrześcijanie. Ale ludobójstwo dokonane na Armeńczykach na początku wieku oraz ucieczka Greków po ich nieudanej próbie odzyskania Konstantynopola po drugiej wojnie światowej pozostawiły w Turcji jedynie małą grupę niemuzułmanów. Nawet Izrael może w końcu stać się bardziej muzułmański niż żydowski.

Narody Zachodu pozostają w posiadaniu najnowocześniejszych broni oraz, w wielu przypadkach, dobrze wyszkolonych i licznych armii. Zaatakowanie Niemiec przez Turcję albo Francji przez Algierię byłoby pomysłem samobójczym. Ale czyż nie jest tak, że zachodnia Europa ulega „inwazji przez migrację”? Turecka populacja w Niemczech jest duża i nadal rośnie, zaś otwarcie wrogi chrześcijaństwu rząd socjalistów i zielonych zamierza uczynić turecką obecność w Niemczech permanentną, germanizację Turków ograniczając do nauczania ich języka niemieckiego. Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia we Francji, gdzie liczba rdzennych Francuzów praktycznie nie rośnie, w przeciwieństwie do rosnącej

populacji północno-afrykańskiej, zwłaszcza algierskiej. Wędrujący Volk może dokonać tego, czego nie byłyby w stanie osiągnąć armie najeźdźców.

Rozrost islamu nie jest związany jedynie z biologiczną siłą tego żywiołu oraz specyficznym jego traktowaniem na Zachodzie przez postchrześcijańskie elity rządzące, które – same nie mając żadnej wiary – nie traktują wiary muzułmanów poważnie, ufne w uniformizującą potęgę telewizji i publicznej edukacji. Prof. Brown przypomina czystkę etniczną w Algierii po odzyskaniu przez to państwo niepodległości. Przypomina, że wraz z końcem ery kolonialnej muzułmańskie rządy w wielu państwach Afryki zaprowadziły prawo Allaha, mimo iż w tych państwach żyły znaczące społeczności chrześcijańskie oraz wyznające religie plemienne. Najczęściej prawo Allaha wprowadzane i przestrzegane jest z niesłychanym okrucieństwem, którego Zachód uważa za stosowne nie dostrzegać. Zarówno chrześcijanie jak i animiści są przedmiotem handlu niewolnikami, są ofiarami cierpień zadawanych im przez muzułmanów, ale nie obchodzi to ani zachodnich dyplomatów, ani zachodniej prasy. *Jak libańska „ekstremistyczna chrześcijańska milicja”, afrykańscy chrześcijanie i animiści należą, by użyć określenia Jacquesa Ellula, do „nieinteresujących nieszczęśników”, których cierpienia interesują tylko ich samych.*

Komentuje James Jatras: *Moralne rozbrojenie współczesnej postchrześcijańskiej Europy jest nieomal powszechne. W odleglejszej przeszłości francuska lilia Burbonów potrafiła zawiązać sojusz z półksiężycem skierowany przeciw Austrii Habsburgów, ale przynajmniej porozumienie miało walor cynicznie realizowanego własnego interesu. Nikt nie oczekiwał, że częścią układu będzie zgoda katolickiej Francji na głoszenie peanów na cześć łagodności reżimu sultana. [...]*

Tymczasem po pierwszej wojnie światowej, gdy w państwach muzułmańskich utworzonych na gruzach imperium osmańskiego powstały nominalnie „prozachodnie” rządy, Zachód zajął się przekonywaniem samego siebie o istnieniu „łagodnego islamu”. Z czasem zaczęła się promocja „umiarkowanych” reżimów muzułmańskich – zwłaszcza takich, które przystawały na pokojowe porozumienie z Izraelem lub, jeszcze lepiej, takich, które mogły pochwalić się posiadaniem bogatych złóż ropy naftowej. [...] Radykalne działania rzekomo umiarkowanych rządów pozostawały niezauważone, jak na przykład poparcie Arabii Saudyjskiej oraz Pakistanu dla reżimu Talibów w Afganistanie (mimo, że nawet Irańczycy potępiają Talibów jako niebezpiecznych fanatyków), czy też pomoc praktycznie wszystkich państw muzułmańskich dla Sarajewa ledwie skrywającego radykalny charakter reżimu w nim rządzącego.

Jatras dodaje, że w konfliktach między muzułmanami i chrześcijanami Zachód z reguły z przychylnością patrzy na stronę muzułmańską. Uważa, że Zachód często kieruje się przy tym niechęcią do prawosławnego Wschodu, w ten sposób zwiększając zresztą groźbę swej przegranej. Wszakże kluczowe znaczenie ma nie charakter islamu, skala okrucieństwa do jakiego są dziś zdolni jego wyznawcy, rzeczywiste znaczenie „łagodnego islamu”, nawet nie stosunek Zachodu do prawosławnego Wschodu, lecz „atrakcyjność” współczesnej cywilizacji samego Zachodu. Podsumowuje prof. Brown:

Ludy Zachodu są zmęczone. Wiele z ich sił zostało wyczerpanych przez eksterminacyjne wojny pierwszej połowy wieku. [...] Demograf Pierre Chaunu mówi o „demograficznej zimie”, o stopniowym wymieraniu całych populacji. Tymczasem ludy muzułmańskie, po wiekach stagnacji, przeżywają czas swego wskrzeszenia. One także mogą ulec demograficznej zimie, ale ich zima przyjdzie później. Spełnienie ich starych ambicji wydaje się być w zasięgu ręki

[...]. Wiele z religijnych fundamentów Zachodu uległo erozji [...]. Nominalni chrześcijanie wydają się nie przejmować ani losami ich religii, ani nawet ich własnych narodów. Prawdziwie wierzący chrześcijanie, mniej liczni, [...] często kierują swój wzrok wyłącznie ku miastu, „które ma przyjść” (Hbr 13,14). Czy jest zatem dość wizji i siły by odbudować mury Zachodu? Czy też ulegniemy cichej „świętej wojnie”, w której drogą erozji osiągnięte zostanie to, czego nie dało się zdobyć siłą?

I gdyby tak miało się stać, jedynym winnym byłby sam Zachód, który wyparł się swoich korzeni, swą rodzimą kulturę zastąpił poronionym konstruktem wielokulturowości. Konstruktem ten zaś, będąc absurdem, niejako automatycznie musi promować „innych”. Że groźba jest realna, zwracał na to wcześniej uwagę np. Samuel Huntington w swojej beznamiętnej i słynnej analizie o możliwości zderzenia cywilizacji z roku 1993. Zwracał przy tym uwagę na ciekawą sojusz islamu z cywilizacją konfucjańską (Chinami i Koreą Północną).